Nr. 15. We Lwowie dnia 9. Kwietnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Słowacki.

„Przed grobem niczego nie żądał, za to za grobem o wszystko się upomniał“ — i bez najmniejszych już dzisiaj zastrzeżeń postawiony został obok takiego, jak Mickiewicz, geniusza. Nie wielkie miał powodzenie za życia, sam był nakładcą swych poezyj, na których, zwłaszcza w pierwszych latach jego działalności, poznawało się drobne tylko grono umysłów wybranych. Zaledwie jednak zmęczone zamknął oczy, niesprawiedliwa krytyka, w ślad za Mickiewiczem nazywająca pieśni jego świątynią bez Boga, umilkła, a miejsce jej zajął niemal powszechny tryumfalny głos uwielbienia.



Zgodzono się na zdanie autora „Irydiona“, wygłoszone jeszcze kilka lat przed śmiercią Juliusza, że nikt „tak fantastycznie nie pisał, że wygląda na króla, kiedy zacznie rozkazywać mowie polskiej, że w czarnoksięstwie stylu stanął on tak wysoko, że nikt wyższym od niego, a równym rzadko kto“. Zgodzono się, że „z przedwczesną śmiercią Słowackiego społeczeństwo niepowetowaną poniosło stratę“, że „w krainę cichą odszedł jeden z największych geniuszy Polski i Europy, artysta, który z szorstkiej mowy naszej utworzył dziwnie metaliczne, szklane, muzykalne narzędzie“.

Niebawem kult pieśniarza Balladyny dosięgnął zenitu; nie wahano się dowodzić, że jest on „co do twórczości płodniejszy, co do wyobraźni bogatszy, świetniejszy i polotniejszy i co do rodzaju tworów swych wielostronniejszy od Mickiewicza“, nie wahano się twierdzić,[1] że nie Mickiewicz, lecz Słowacki dopiero „odrodził poezję i samego ducha narodu“, że on im „otworzył nowe, nieprzeczuwane dotychczas horyzonty“.

Demokratyzujące i rewolucjonizujące się społeczeństwo — a zwłaszcza zaś młode jego pokolenie, podnosiło strofy z grobu Agamemnona do znaczenia hasła, nakazującego zrywać z niewolniczą, do wolnych polotów niezdolną przeszłością. W szalonych, zgryźliwych, piekących apostrofach do „autora trzech psalmów“ widziano program działania praktycznego, w płomiennych tyradach i przysięgach spiskującego Kordjana wskazówkę, jakiej względem wrogów należy trzymać się polityki.

Zapał ten z czasem nieco się oziębił, nikt jednak nie zdołał i nie zdoła ściągnąć wartości Słowackiego poniżej istotnego jej poziomu, a streszczającego się w tem, że „Mickiewicz, on i Krasiński wzajemnie się uzupełniając, stanowią dopiero razem wzięci skończony wyraz naszej wielkiej poezji“, naszej nieśmiertelnej duszy narodowej.

Obdarzony niezmiernie żywą, ognistą, kapryśną wyobraźnią twórczą, którą podsycały dość szczęśliwe z początku warunki bytu, Słowacki już jako dwudziesto i jednoletni młodzieniec, zagrzmiał rewolucyjnym „Hymnem do Bogarodzicy“, wspaniałą „Odą do wolności“ i namiętnym, rozhukanym „Kulikiem“.

Przed oczami zabłysnęła mu zorza wolności, do uszu jego przypłynął dźwięk dzwonu, obwieszczający jej narodziny. I wołał na rycerzy, aby podnieśli głos, któryby wstrząsnął wieżycami Moskwy, ażeby wzruszył granitami Newy i spłoszył dwugłowego orła, trzymającego w szponach okowy niewoli. I ptak ten z przestrachu uleciał nad krzyże świątyń i nie mając mocy patrzeć na wolnością jaśniejące narody, uleciał w cienie północy.

I huczał dalej ten płomienisty młodzieniec, że głos potomności obwini tych, którzy zardzewiałe czczą korony, że zbawienie spoczywa tylko w ufności w własne siły, że pod mieczem ufających bojowników zachwieją się losy dumnych mocarzy, że padną do niedawna jeszcze „niebotyczne sosny królów“, którzy prawa ludu lekkomyślnie deptali.

Uwielbiający Wallenroda, a niebawem dotarłszy do jego pierwowzorów, do pieśni albiońskiego wieszcza, który na kilka lat przed tymi pierwszymi debiutami naszego pieśniarza znalazł śmierć bohaterską pod Missolonghi, Słowacki od razu, w pierwszych już tomikach, zaznaczył dobitnie stosunek swój do świata i jego urządzeń. Stosunek ten zmieniał się później w szczegółach, w zasadzie atoli pozostał tym samym, zatrzymał charakter, ujawniony w Mindowym i w Maryi Stuart, i w Arabie i Mnichu i Hugonie, Bieleckim, Żmiji i Lambrze. Najgłówniejszemi charakteru tego cechami była niepohamowana chęć walki z filisterją i wszelkiego rodzaju niewolą, wyrażającą się czyto w dogmacie religijnym czy w więzach towarzyskich, czy w kajdanach zaborczej polityki.

Nie było wówczas Zarathustry Nietschego, którzy z kultu silnych jednostek stworzył jedną z ewangelji społecznych, często bardzo wygodnych dla natur egoistycznych, tyrańskich, a Słowacki zasadę tego kultu — mając pod pewnym względem poprzednika w Byronie, uczynił treścią swego poglądu na świat, uczynił treścią przeważnej części swych poetyckich utworów. Miał pogardę dla bezmyślnego, leniwego tłumu, natomiast wielbił bohaterów, czcił umysły potężne, nieokiełznane, depczące w pochodzie swoim wszystko, co mogłoby im stanąć na przeszkodzie, choćby to były największe według naszych wyobrażeń prawa, wierzył, że tylko takie umysły świat przekształcają, że tylko tacy bezwzględni, przed krwią a nawet zbrodnią nie cofający się bojownicy porywają ludzkość i wiodą ją do krainy światłości, do krainy, gdzie ludzkość ta dosięga szczytu swego rozwoju.

Sam siebie uważał, że jedną z takich natur niemal demonicznych i „stąd to jego odosabnianie się od ludzi“, stąd to szukanie samotności, stąd wreszcie to jego późniejsze zatopienie się w głębokich mrokach mistycyzmu.

Niewątpliwie, poeta ogromnego talentu, a takie posiadający wyobrażenia o świecie i wyobrażeniom tym natchniony, dający wyraz w swej pieśni mógłby wywrzeć wpływ niezmiernie szkodliwy mógłby stać się apologetą wszelkiego występku, jeżeli tylko ten występek jest emanacją duszy, silniejszej od przeciętnego tłumu.

Atoli od zboczenia na taką niebezpieczną, ze stanowiska dobra społecznego wprost zbrodniczą drogę ratowało Słowackiego to, że był Polakiem, że był synem narodu uciemiężonego, i do tego narodu, który niemal w oczach poety dawał dowody bohaterskich, nadludzkich wysiłków.

Nie jest to paradoksem. Kult jednostki zmienił się w najdojrzalszych utworach Juljusza w kult dusz silnych, szlachetnych, w kult Kordjanów, Anhellich i Królów-duchów, w kult tych, którzy umieją nadludzko cierpieć i nadludzko walczyć dla tego, ażeby świat był zbawiony, ażeby, jak mówi, nie był opasły i — po filistersku — zdrowy.

Rewolucyjność — nie ta, której potężna muzyka, opiewająca rwanie pęt narodowej niewoli, brzmiała w natchnionym „Hymnie do Bogarodzicy“, ale to wyłamywanie się jednostki z karbów moralności społecznej, nie znalazła w społeczeństwie oddźwięku.

Odczuł to Słowacki, a znajdując jeszcze bodziec w wewnętrznej potrzebie współzawodniczenia z autorem trzeciej części Dziadów, rzucił „w otchłań milczącą“ swego Kordjana. Podobał się poemat bezimienny, przypisywany Mickiewiczowi, poemat, w którym bajronizm ustąpił miejsca rewolucyjnemu patrjotyzmowi, odpowiadającemu zupełnie nastrojowi, jaki naówczas panował w naszem społeczeństwie.

Dusza poety zaczęła się krystalizować pod urokiem przyrody szwajcarskiej; w dolinie Grindelwaldu, u stóp wspaniałego, wiecznymi lodami pokrytego Wetterhornu, w Wengernalp naprzeciw niebotycznej, białej Jungfrau, nad brzegami czarującego jeziora Czterech kantonów, śledził Słowacki „harmonję, która wszystko łączy, nalewa jednym kolorem; zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwię-

kami natury“. Szarpiąca analiza ustąpiła miejsca kojącej syntezie i powstała pieśń, o której powiedział Krasiński, że „nic podobnego nie ma w żadnym obcym języku i że trzeba być bezczelnym, by brać się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza“.

I rzeczywiście pod względem malowniczego odtwarzania obrazów przyrody stoi na równi z poematem „W Szwajcarji“ chyba tylko Shelleyowski „Alastor“, a pod względem subtelności uczuć wspaniały „Epipsychidion“ tego samego pieśniarza.

Ale przedtem jeszcze, przed Szwajcarją, powstał utwór, dowodzący, że nasze hasła o poezji symbolicznej nie są nowemi, że my wszyscy, twierdzący, iż sztuka wówczas tylko będzie miała znamiona prawdziwego życia, jeśli będziemy umieli dać jej głębię perspektywy symbolicznej, że my wszyscy do pierwotnego powracamy źródła, z którego pełnymi haustami czerpali Krasiński i Słowacki.

Krasiński był Słowackiemu wzorem, był mistrzem, którego uczeń prześcignąć nie zdołał, wprowadzając niejednokrotnie, zamiast symbolów, pierwiastki allegoryczne.

Kordjan i Anhelli, utwory napozór tak odmienne — zwłaszcza co do formy, mimo to związane są ze sobą bliskiem bardzo pokrewieństwem: matką ich rzeczywistość, której muza Słowackiego tak niechętnie się dotykała, nie chcąc budzić swych w słonecznych promieniach wykąpanych skrzydeł — rzeczywistość cierpienia i walk narodu naszego.

Ale jeżeli w Kordjanie słychać groźną klątwę na zdrajców i ciemiężycieli, to Anhelli wędrujący w blaskach zorzy północnej po nieprzebytych, śnieżystych obszarach symbolicznego Sybiru, jest upostaciowaniem męczeńskiej ciszy, męczeńskiej niemal rezygnacji, a równocześnie dźwigającem ciężkie brzemię zwątpienia co do przyszłości narodu oraz ściganem eumenidami pytań, gdzie szukać środków i jakich, aby naród ten zbawić.

Nie zadawala go ani graf Skir, przedstawiciel kontuszowej szlachty, ani brat Grachów, żołnierz Skartabella, podnoszący komunistyczny program podziału ziemi, „wolności chłopów i równości szlachty z żydami i cyganami“ do wyżyn jedynie zbawczego narodowego hasła, nie widzi też szczęścia milionów w modlitwie księdza Bonifata, każącego iść i ginąć w spokoju a ciszy, jak szli i ginęli pierwsi chrześciaństwa męczennicy.

Nie widzi szczęścia — ale przecież zasadniczo stoi może najbliżej tego księdza, kiedy wbrew temu, czem tak donośnie grzmiał w Kordjanie, zdaje się szukać odkupienia w spokojności, w zerwaniu z walką orężną, w poddaniu się losowi.

I tutaj doszukalibyśmy się może pierwszych drgań mistycyzmu, który w kilka lat później pochłonął tego poetę o śmiałym, niezależnym poglądzie na świat, tego jednem słowem człowieka swobodnego, pełnego samowiedzy bojownika za najszlachetniejsze dobra ludzkości.

Ale teorja „spokojnej ofiary“, wyrażona w symboliczno-allegorycznym Anhellim, nie miała trwałych podstaw w płomiennej duszy Słowackiego.

Jan Kasprowicz.

(Dokończenie nastąpi.)

Książka Babuni.

Nigdy się czytać nie uczyła, a jednak posiadała książkę do nabożeństwa, która była największym jej skarbem. Babunia była już bardzo starą; nikt dokładnie wieku jej nie znał; włos miała bielutki, twarz pokrytą drobniutkiemi, lecz niezliczonemi zmarszczkami. Co niedziela chodziła do kościoła, a następnie na cmentarzyk wiejski, gdzie od wielu lat już spoczywał mąż jej, ukochany, wierny towarzysz jej młodości i dojrzałego wieku. Najpiękniejsze róże i lilje zdobiły mogiłę. Ach, od tak dawna już śpi! Umarłych nic nie wzrusza, ani łzy, ani prośby rozbudzić ich nie zdołają.

Staruszka dwu miała synów. Obaj byli już nie młodzi. Jeden objął po rodzicach zagrodę włościańską, ożenił się i licznem się cieszył potomstwem. Drugi mieszkał w mieście, pracował dla społeczeństwa, był rzecznikiem ludu i wysoki piastował urząd. Staruszkę cieszyło powodzenie syna, lecz nie był on już jej „dzieckiem“. Obowiązki i zaszczyty ochładzają serca ludzkie.

Aloizy, kmieć jak ojciec, pozostał jej synem, mimo siwych włosów i podeszłego wieku. Przychodził do izdebki matki, siadał na ławie za piecem, w którym jabłka dla niego skwierczały, pytał o radę, wysłuchał strofowań i milczał, gdy matka mówić chciała. Przyprowadził

jej syna, gdy chłopiec wrócił do domu po odbyciu powinności wojskowej. Niechaj i jego pierworodny korzysta z nauk i doświadczenia babuni.

Fredzio, przystojny, wysmukły młodzieniec, pracował za dwóch. Ale jedna wielka wada przyćmiewała jego zalety. Serce zbyt miał wrażliwe.

Drugi syn staruszki, Jerzy, wysokie zajmujący stanowisko, rzadko bywał w tej okolicy. Za każdym razem jednak odwiedził matkę, i gościńca jej przywoził. Dobrym był dla niej, i nigdyby sobie nie pozwolił nawet pod względem pozorów szacunku, na najmniejsze choćby uchybienie. Ale był „panem", na którego staruszka spoglądała z uczuciem dumy. Drugiego, kmiecia, kochała.

Bracia wzajemnie nie bardzo się rozumieli. Co do jednego przedmiotu tylko zgadzali się najzupełniej, chociaż nie porozumiewali się wcale. Była to rzecz drobna, — książka babuni do nabożeństwa. Książka ta wcale nie powinnaby istnieć. Stanowiła ona bowem przedmiot śmiechu całej wioski. Babunia nie umiała czytać. Wszyscy o tem wiedzieli. Nie uczyła się czytania, ze stanowczością, która była znamiennym rysem charakteru, nigdy się uczyć nie chciała. Zamiast patrzeć na litery, które jej pokazywano, patrzyła ludziom prosto w oczy i śmiała się. Spojrzenie miała bystre i rozumne, — czytać jednak nie umiała. Był to fakt niezaprzeczony. Mimo to, w każdą niedzielę chodziła do kościoła z książką, w której się roiło od większych i mniejszych świstków i skrawków papieru, przewracała podczas nabożeństwa kartkę po kartce, a na twarzy jej promieniał uśmiech niewymownej błogości.

Naokoło szeptano i śmiano się. Nie zwracała na to uwagi. Nigdy książki nie wydawała z ręki. Albo czytała w niej, albo chowała ją do szafy. Synowie prosili, by modlitewnik oddała komukolwiek; syn-dygnitarz strofował ją nawet za „dzieciństwo", lecz staruszka, cicho się uśmiechając, słuchała wyrzutów w milczeniu, i nadal z książką chodziła do kościoła.

— To moje nabożeństwo, — mawiała.

* *
*

Ciężkie czasy nadeszły dla zagrody włościańskiej. Było to wkrótce po pięknej, radosnej zimie, kiedy Fredzio zaręczył się z Krystyną, śliczną córką biednej komornicy. Ślub miał się odbyć około Wielkiejnocy. Ojciec nie sprzeciwiał się wyborowi syna. I on w młodości ożenił się z dziewczyną ubogą, którą pokochał dla jej urody i cnoty. Zresztą młodzi byli chętni do pracy, a Fredzio dostanie kawał gruntu, który na początek zapewni im utrzymanie. Zgoda, wzajemny szacunek i przywiązanie niejedną trudność zdołają przezwyciężyć

Wtem, zupełnie niespodzianie, zjawił się pewnego dnia w okolicy człowiek, dawniej tu zamieszkały, i zażądał od Aloizego zapłaty długu, zaciągniętego jeszcze przez nieboszczyka ojca. Żądanie to padło na rodzinę, jak grom z jasnego nieba. Suma była znaczną, wszyscy mniemali, że przed dwudziestu laty już została spłaconą. Nigdzie jednak nie było na to dowodu. Dworek wiejski pogrążony był w głębokim smutku. Okazała się bowiem potrzeba sprzedaży części gruntu; w takich warunkach o weselu Fredzia i mowy być nie mogło.

Aloizy, ciężko strapiony, udał się po radę do matki. Gdy skończył, poczęła trząść głową i wymawiać, że śmie oskarżać umarłego ojca. Następnie zapadła w głęboką zadumę, i wbrew zwyczajowi, może z godzinę spędziła w milczącem zamyśleniu. Wtem na twarzy jej przemknęło coś, nakształt błysku wspomnienia; zerwała się z zydla, otworzyła szafę i wyjęła z niej... wyśmiewaną książkę.

Syn, siedząc ze zwieszoną na piersi głową, nie zwracał uwagi na staruszkę, która milcząc wciąż, pilnie szukała czegoś w książce.

— Co matka tam przechowuje? — pomyślał z westchnieniem. — Papierki, kokardki... Dziecinieje już biedaczka.

W tej chwili matka podała mu zżółkły ze starości skrawek papieru.

— Masz pokwitowanie na to, że dług został spłacony, — rzekła z wielkim spokojem.

Aloizy, przestraszony, w pierwszej chwili sądził, że matka straciła zmysły. Począł drżeć, bełkotać, a wzrok jego, w którym się odbijał wyraz przerażenia, spoczywał na papierze, który staruszka mu podawała.

Nie! matka miała rację! Było to w samej rzeczy pokwitowanie z zapłaconego długu!

Wiesz, że czytać nie umiem, — rzekła, patrząc na kartkę spojrzeniem przenikliwem, ale lubię widok „pisanego". Zbierałam więc wszystkie skrawki zapisanego papieru, i chowałam je do książki. Nie można wiedzieć.

Przy tych słowach, w oczach jej zajaśniał błysk tak filuterny, że syn mimo wzruszenia, musiał się roześmiać. Lecz staruszka ciągnęła dalej z wielką powagą:

— Kartka ta ojcu twemu musiała wypaść z kieszeni. Przypominam sobie, że zachorował tego samego wieczora, po odejściu wierzyciela. Co między nimi zaszło, tego nigdy mi nie powiedział... Był w ogóle cichy i bardzo małomówny. Wówczas tyfus panował u nas i we wsiach okolicznych. Ojciec twój zachorował, i począł majaczyć w gorączce. Kartka leżała na podłodze przed jego łóżkiem. Podniosłam i schowałam do książki. Do mojej książki... do mojego modlitewnika. Ojciec, wyzdrowiawszy, nie pamiętał wcale zajścia i zapomniał też o pokwitowaniu.

Aloizy wrócił do domu, pełen radosnego upojenia. Oszust, który chciał wyzyskać mnie-

many brak dokumentu, otrzymał zasłużoną karę, a Fredzio i jego ukochana niezadługo stanęli u ołtarza.

Zawsze otaczali staruszkę miłością i szacunkiem, ale teraz wdzięczność granic nie miała. Od owego dnia nikt już we dworze się nie śmiał na widok książki babuni.

* * *

Na wiosnę, gdy bez i srebrnobiałe narcyzy napełniały powietrze odurzającą wonią, Jerzy, po dłuższej niebytności, przyjechał do matki w odwiedziny. Było to w niedzielę, i wszyscy razem udali się do kościoła, w nastroju bardzo uroczystym. Nie w takiem usposobieniu jednak odbył się powrót do domu. Jerzy podczas nabożeństwa siedział obok matki, a staruszka więcej niż kiedykolwiek wertowała swą książkę. Bawiła się kartkami i papierkami, jak dziecko małe, i nie uszło bacznej uwagi syna, że cała młodzież wiejska ubawiła się tym widokiem. Nie! to się musi skończyć. Siedząc obok matki w chłodnym pokoiku, pełnym zapachu ziół, suszących się na półkach, powiedział jej to bez wszelkiego wstępu:

— Matko! przecież czytać nie umiesz! Na co ci ta stara książka? Odłóż ją. Ludzie się śmieją, gdy zaglądasz do niej. Wszyscy wiedzą, że nie umiesz się modlić.

— Owszem, mój synu — odrzekła poważnie — modlę się z niej. A może i ty zechcesz zajrzeć do mojej książki?

Wyjęła książkę z szafy, położyła ją przed nim i wyszła z pokoju.

Długo, długo mężczyzna, stojący na wyżynach społeczeństwa, siedział przed zbiorem zżółkłych kartek. Nie czytał książki, cała jego uwaga skupiła się na zapisanych skrawkach papieru. Dumna jego dusza złagodniała; wspomnienia dzieciństwa i młodości powracającą falą mózg mu zalały i serce. Ujrzał przed sobą świadectwa swoje szkolne, drobne podarki, które przywoził matce, pierwszy list, pisany z uniwersytetu, kilka wierszy ulotnych. I odżyło w nim całe przywiązanie serca, które dawniej było i łagodniejszem, i gorętszem, i uległem bardziej.

Matka czytać nie umiała, ale wszystko to było wyryte w jej pamięci. Ona czytała sercem, a serce jej pozostało niezmiennem i rzewne przed ołtarzem przeszłości obchodziło nabożeństwa.

I teraz dopiero syn, który, długo bawiąc na obczyźnie, obcym poniekąd stał się wśród swoich, pojął całą głębię szlachetnej, pięknej duszy swej matki.

Tak, książka ta prawdziwem była nabożeństwem!

I samotny mężczyzna wciąż czytał i czytał.

W sercu rozbudziła mu się wiosna; świeży jej powiew chłodził mu rozpalone czoło. Myśli poczęły blednąć, uczucia powstawały, różowe jak jutrzenka; w dygnitarzu zmartwychwstał człowiek, który długo, długo leżał w uśpieniu. Było to działanie serca na serce.

Staruszka wróciła. Bez zwykłej nieśmiałości pogładziła zwiędłą, pomarszczoną dłonią ciemne włosy syna. Jasna, przeczysta łza, wymykając się z pod powiek czytającego, spadła na kartkę, leżącą przed nim. Ujął obie ręce matki i z czcią głęboką nad niemi się pochylił. Następnie zwrócił jej książkę.

— Będę częściej przyjeżdżał — rzekł z cicha, — i częściej czytywał twoją książkę.

A wzrok matki, który wszystko pojmuje, zrozumiał łagodny blask w wilgotnem oku syna.

11)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Myśli swoich i czynów nie skrywał nigdy, „bo nie chciał wydawać się lepszym, niż był w istocie“. Serce miał zawsze na dłoni, szczerość była cechą jego charakteru. Za te przymioty dodatniej natury był Wroński lubiany powszechnie i to tak dobrze w towarzystwach polskich, jak i w rosyjskich. Damy syberyjskie nazywały go „niepadrażajemym“, albo „umarytielnym“, a wiejskie niewiasty „diewiczym starostą“. Języka rosyjskiego nie mógł się nauczyć, mówił w towarzystwach Rosjan właściwie po polsku, dostrajając tylko wyrazy do akcentu mowy obcej, ale najczęściej nie umiał trafić na akcent konieczny, to też nie wiedział nigdy na pewno, czy go zrozumiano należycie; i tak np. nie mógł zgadnąć, czy mu się udało powiedzieć „męka“, czy „mąka“, gdy używał wyrazu „muka“, który w języku rosyjskim oznacza jedno i drugie, przy zmienionym tylko akcencie.

Koledzy i znajomi cenili Wrońskiego i chętnie poszukiwali jego towarzystwa. Tak n. p. Aleksander Czekanowski, w chwilach nastroju pessymistycznego, mieszkał jakiś czas z nim ra-

zem, kojąc boleści swoje czarem przymiotów towarzyskich Wrońskiego. Czerski lubił jego opowiadania, których powab polegał na prostocie i żywości słowa, na szczerości uczucia i na trafności i oryginalności porównań.

Jednym z objawów życiowych indywidualności towarzyskiej i namiętnej Wrońskiego był niczem nie pohamowany popęd do tańca, który występował ze szczególniejszą siłą w czasie jego pobytu w Warszawie. Wprawdzie widziałem tę cechę mocno zaznaczoną i u innych Warszawiaków, lecz nigdy w tym stopniu, co u niego.

Wroński tańcował z werwą mazurską, zgrabnie i z wytrzymałością nieporównaną. Opowiadał nam, jak nieraz zaproszony na wieczór „tańcujący“, szczególnie podczas karnawału w Warszawie, „przehasał“ noc całą „bez pamięci“. W chwilach pobudzenia tanecznego tracił zazwyczaj zeznanie czasu, miejsca, głodu, zmęczenia i bolu, dopiero gdy się dostał na ulicę, przychodził do przytomności i wtedy raptownie uczuwał ból dotkliwy w obrzękłych nogach, potrzebę gwałtowną zaspokojenia pragnienia i głodu i konieczność wypoczynku. Taki stan ekstazy tanecznej widziałem u Kamczadalów, rzadziej u Aleutów i u roboczego ludu, pochodzenia rosyjskiego, w kopalniach syberyjskich. Middendorff opisał szał rzeczony u Tunguzów. W Europie ma być napotykany najczęściej u ludów sławiańskich („Sclavus saltans“ ma być równoznaczny ze „Slavus saltans“), u nas też, o ile wiem, nie jest rzadkością, lecz bywa już po większej części dzisiaj sztucznie podniecany, szczególnie u tancerzy płci męskiej, za pomocą trunków alkoholicznych, przez co traci na barwie i naturalności, a przeciwnie budzi niesmak i nawet pewien rodzaj wstrętu, jakiego się doznaje, bądź słuchając na ucztach uroczystych przemówień, wypowiadanych przez oratorów podchmielonych, bądź czytając utwory „poetyckie“ nowszej daty.

Pobudki jakiejś zewnętrznej silniejszej, bodźców szczególniejszych (np. alkoholicznych), w celu wywołania szału tanecznego, nie potrzebował Wroński wcale, „byleby brząkadełko jakie“ — powiadał — „a moje nogi szalały i za niemi serce i głowa“. Najczęściej nie przemówił słowa do tancerki, „nie zajrzał jej w oczy“; piękność, rozum, dowcip, wiek nawet osoby, z którą tańcował, były mu obojętne, „byleby tylko nie gubiła taktu“, a o resztę nie pytał. Porywał zwykle taką tanecznicę, umiejącą godzić się z taktem, pędził z nią, jak wicher szalony, improwizując nogami każdorazowie nowy choreograficzny poemat oryginalny i estetyczny, a trwało to tak długo, aż zawołała zmęczona tancerka, — jak „Donna Clara“ do „Ramira“ w poemacie Heine'go — „dosyć!“; puszczał wtedy jedną, porywał drugą tancerkę i tak koleją, aż muzyka grać przestała.

Z mniejszą wprawdzie, ale zawsze silną namiętnością, oddawał się Wroński konnej jeździe i zabawom towarzyskim, a szczególniej w gronie płci pięknej. W ogóle wybitnym rysem jego charakteru było szczere, namiętne zajęcie się przedmiotem upodobania, lub obowiązku, umiał on skupić chwilowo wszystkie swoje władze duchowe na jednym przedmiocie, a nie rozpraszał się w myślach i czynach, jak to robią inni. Miał pod tym względem przymioty, które się coraz rzadziej napotyka obecnie wśród ludzi cywilizowanych, lecz które bywają dotąd jeszcze dosyć często widziane u „ludu prostego“, albo u ludów „niecywilizowanych“; z tymi ostatnimi podzielał też Wroński skłonność do przesądów, do wierzeń naiwnych i jakąś trwożną lękliwość przed niecodziennemi zjawiskami przyrody. Burzy, piorunów, trzęsienia ziemi, lękał się niezmiernie i nie mógł uwierzyć, ażeby kto z ludzi zdołał się oprzeć bojaźni w obec tych „żywiołowych szałów natury“.

O ile Wroński był pełen odwagi cywilnej, gdy miał do czynienia z ludźmi i nie dał się nigdy zastraszyć, lub pokonać mową, o tyle był ostrożny i lękliwy w obec przyrody. Przejść po kładce, rzuconej nad pieniącym się potokiem, nie próbował nigdy, lecz zwykle przepełzał, siadając na nią okrakiem, wleźć na drzewo wysokie, lub wspiąć się na urwistą skałę nie mógł, bujania się łodzi na falach spienionych jeziora znieść nie zdołał, do żadnej wycieczki na Bajkał nie dał się nigdy namówić. Objaśniając tę lękliwość swoją, powiadał, „że do odwagi takiej trzeba mieć wprawę i siłę, a ja nie mam ani jednej ani drugiej“. Gdy mu przy tej sposobności przypominano impet, z jakim szarżował na Kozaków, podczas służby wojskowej w oddziale powstańczym, odpowiadał „że tam był zapał i obowiązek, a tu prosta brawada tylko“. Oprócz właściwości, wymienionych uprzednio, podnieść muszę jeszcze parę cech, które sam Wroński nazywał „kobiecemi“; były niemi mianowicie: wstręt do tytoniu, fajki i cygara i pociąg prawie namiętny do słodyczy wszelakich. Herbaty nie mógł pić bez cukru, chyba, że go do tego zmuszała konieczność ostateczna, jak n. p. pobyt w górach, albo brak doszczętny funduszów. Gdy tylko mógł, osładzał sobie herbatę do stopnia ulepu, a pił ją tak mocną, że inni już herbatę taką „essencją“ nazywali. Czerski utrzymywał nawet, że podobna herbata, gdyby ją pił, byłaby go o śmierć przyprawiła. Nadto miał Wroński zawsze przy sobie karmelki, albo czekoladę, jeżeli tylko na taki zbytek pozwalały okoliczności przyjazne, ale też za to z drugiej strony nie używał trunków alkoholicznych, gdyż powiadał, że „samem powietrzem po pijanemu żyje, pocóż więc te sztuczne środki podniecania organizmu“, których niestety zbyt często i zbyt wiele używano na Syberji podówczas. Zeznając całą szkodliwość

alkoholu, Wroński był szczerym i wymownym apostołem trzeźwości w kole swoich znajomych; że słowa apostolstwa jego mało skutkowały winić wypada w pierwszym rzędzie zwyczaje i przesądy społeczne, zaś w drugim słabość woli pojedynczych osobników. W obec takich groźnych nieprzyjaciół bogowie sami nawet walczą bez powodzenia. Nie sukces tedy, lecz szlachetna intencja Wrońskiego, stanowi jego zasługę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

7)

Z wycieczki do Słowacji.

(Ciąg dalszy).

Paweł Mudroń jest adwokatem. Grono inteligencji, z którąśmy się zetknęli w piwiarni, stanowi skład redakcji. Redaktorem odpowiedzialnym jest Ambro Pietor, postać wspaniała, ojciec pięciu Pietorów, chłopców, jak dęby, a dzielnych, inteligentnych, żywych i nad wyraz sympatycznych: każdy co innego robi i każdy w swoim zakresie działa.

Do izby przybywali wciąż nowi ludzie: to też trącaliśmy się to kieliszkiem borovički, to szklenicą (poharem) piwa, a w powietrzu krzyżowały się krzyki: „Sława!“, „Na zdar!“, „Živie!“, „Niech żyje!“

— Czy to prawda, żeście przyjechali umyślnie na nasze sławnosti?

— Tak jest.

— To bardzo pięknie z waszej strony. A jak wam się tu u nas podoba?

Odpowiadamy zwrotką z poematu „Słowacja“ Stefana z Opatówka:

„Tak kraj słowaków dziwi cudnie!
Kraj głośnych gór, a cichych ludzi!
Kto z Tatr się spuści na południe,
Taka go swojska woń obudzi,
Tak nic mu cudze, ni on komu,
Jak w ukochanej siostry domu“.

I znów rozlegają się okrzyki: „Sława!“ „Na zdar!“, „Niech żyje!“

Rozmach temperamentów zdrowych, energicznych, skrzepionych w pracy i samopomocy, skrystalizowanych w idei odległej, lecz czystej, prawie dziewiczej, udziela nam się naturalną drogą sympatji. Lecz i tu, jak wszędzie zresztą, nie czuć w słowach podkładu lekkomyślności. Rozmowa głośna i nadzwyczaj ożywiona, rozwija się odrazu na tle polityki i stosunków społecznych. Być może, iż młodzież ta nie ma dość siły, aby, w myśl „Ody do miłości“, pchnąć bryłę świata nowemi tory; w każdym jednak razie można za każdego niemal jej przedstawiciela odpowiedzieć słowami naszego wieszcza:

„...I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu!“

A poledz tu nietrudno. Przed kilku tygodniami powracał z Wacowa, więzienia politycznego, jeden ze współredaktorów „Narodnich novin“. Na jego spotkanie wyszła gromadka znajomych i przyjaciół. Żandarmi, chcąc przeszkodzić temu objawowi uczucia, wepchnęli wszystkich do bramy i zamknęli im odwrót skrzyżowanemi karabinami. Ponieważ kilku z młodzieży protestowało głośno, żandarmi nabili broń. Na szczęście przechodził tędy wachmistrz i do rozlewu krwi nie dopuścił. Lecz ztąd sprawa sądowa o podburzanie przeciwko narodowości madziarskiej.

Sprawy sądowe, aresztowania, kary pieniężne, więzienie, są tu na porządku dziennym. Właśnie w tych dniach dziewięciu obywateli rużomberskich (Rużomberok w komitacie liptowskim) otrzymało wezwanie do sądu. Rzecz się miała tak:

Młodzi ludzie, powracający z lasu, śpiewali sobie chórem pieśni słowackie. Nie podobało się to dwom młokosom, madziarom, idącym tą samą drogą i zaczęli śpiewać pieśni madziarskie. Słowacy nie chcieli ustąpić i przyszło do wymiany cierpkich słów. Stąd sprawa o podżeganie przeciwko madziarom. „Wyrok przewidzieć łatwo: wszakże manifestanci (?!) śpiewali po słowacku i w dodatku... pieśni żniwiarzy“.

Najsmutniej jednak przedstawiają się procesy o przestępstwo prasowe. Właśnie idzie obecnie do Wacowa odpowiedzialny redaktor „Narodnich novin“, Ambro Pietor. Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu słowa „Petersburskich wiedomosti“, jak je świętomarcińskie „Narodnie nowiny“ podały:

„Walka patrjotów słowackich z madziaryzacją, walka, prowadzona dzielnie przez „Narodnie nowiny“, jest tem cięższą, iż rząd madziarski pilnie śledzi każdy ich krok i niemiłosiernie gnębi za każdy artykuł, przeniknięty miłością swojego narodu. Niedawno, bo w drugiej połowie kwietnia, jeden ze współpracowników „Novin“, Žiak, osądzony został za dwa artykuły na 8 miesięcy więzienia i 600 złr. grzywny. Obecnie sąd peszteński skazał na taką samą karę Pietora za dwa artykuły, napisane przez niejakiego Kovacza, co zresztą było sądowi wiadomem. Zapłacenie 1,200 złr. i ogromnych kosztów sądowych w ciągu dwóch miesięcy, to

ciężar nad siły niewielkiego dziennika, lecz cięższą dłań jeszcze jest strata dwóch naraz członków redakcji. Naród słowacki nie obfituje w publicystów, umiejących walczyć za prawa narodu. Wiedzą o tem dobrze madziarzy; to też, skazując Pietora na długie więzienie, a dziennik na wielką karę pieniężną, chcieliby poprostu uniemożliwić działalność dziennikarską słowaków.

„Lecz naród słowacki jest dzielny i nie da się tak łatwo pozbawić życia duchowego... A zresztą, czy ten środek jest dobrze obmyślany? Czy systematyczne prześladowanie pracowitego i uczciwego narodu jedynie za to, że nie chce sam się zdać, zaprzedać swojej narodowości i swojego języka, nie może przypadkiem wydać całkiem innych owoców, niżby myśleli politycy madziarscy? Słowacy, zewsząd wypędzani, wciąż prześladowani, niezawodnie staną raz, jak jeden mąż, gromadą i pociągną ku sobie serca wszystkich włościan; a kiedy znajdą sobie jakie takie choćby oparcie, wtedy o madziaryzacji mowy już nie będzie. Wszakże siedzą oni w swoim własnym kraju i nie można pozwolić, aby mieli zniknąć z powierzchni ziemi". Tak piszą „Petersburskie wiedomosti".

Po obiedzie poszliśmy na dworzec kolejowy. Pociąg przywiózł kilkaset osób od strony Galicji, Śląska, Morawy, Czech. Co to była za radość, uciecha wzajemna! Jedni nie widzieli się od roku, inni przedstawiali się z żonami; tu jakieś dziewczątko wyrosło na pannę, tu znowu student przemienił się w lekarza. Powitaniom i wylewom uczucia nie było końca! Myśmy do towarzystwa zyskali tylko profesora Baudouina de Courtenay. Pan Zawiliński z powodu niedomagania na zdrowiu przybyć nie mógł.

I zaroiło się na ulicach prawdziwie jak w dniu świątecznym. Porządek jednak wzorowy panował wszędzie. Czuć było nastrój poważny, który sam przez się powstrzymuje gwałtowność ruchów. Żandarmi, po dwóch, z bagnetami w ręku, przechadzali się po ulicach; świadomi rzeczy, pokazywali nam innych, za bramami ukrytych, również po dwóch.

Około ósmej wieczorem zebraliśmy się w wielkiej sali „Domu narodowego" na dole, gdzie się miało odbyć przedstawienie teatru amatorskiego. Wystawiano po raz pierwszy „Strzygę spod Haja" (Strydża spod Haja), utwór sceniczny w trzech aktach młodego autora, p. Franciszka Urbanka. Sala prostokątna, z galerją wokół, pięknie ozdobiona, zaledwie mogła pomieścić wszystkich widzów, jakieś tysiąc osób. Dla wielu ciekawych zabrakło biletów, a i tak mnóstwo stało w przejściach i na kurytarzu. Ochotnicza straż ogniowa pełniła służbę. W oczach wszystkich promieniała radość, w połączeniu z odcieniem dumy.

Odezwały się dźwięki muzyki. Orkiestra cygańska, umyślnie na czas uroczystości sprowadzona z Pesztu, składała się z czworga skrzypiec, dwóch klarnetów, kontrabasu i cymbałków. Zabawnie wyglądają cygani w tużurkach: strój europejski nie pasuje do ich twarzy cudacznie charakterystycznych, do ich krótkich głów z wąskiemi czołami.

Ale czy nas uszy nie mylą?... Tak! Na początek grają czardasza. Czardasz na Słowacji? Jakto! Więc to zawodzenie dzikie, namiętne, bałamutne w melodji, zgrzytliwe w harmonji, nerwowe w rytmie, a pozbawione planu w budowie, podoba się wam do tego stopnia, iż nawet w czasie uroczystości narodowej nie możecie się bez niego obejść?

Profesor Baudouin staje w obronie słowaków. Czardasz jest pochodzenia słowiańskiego, jeżeli nie słowackiego. Pieśni i tańce góralskie, zmadziaryzowane w rytmie i nastroju, zestawione w kontrastach gwałtownych tempa, przeinaczone w tonacji, stanowią podstawę czardasza: resztę dorobiła zmysłowość i fantazja rozkiełznana rasy. A nazwa? Pewnie okaże się również słowiańską, lecz prof. Baudouin nie twierdzi tego stanowczo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

A. Sygietyński.

Z pism i książek.

Nakładem „Głosu" wyszło w przekładzie Steckiego dzieło I. M. „Robertsona" *Humaniści nowożytni* (Studja socjologiczne o Carlyle'u, Millu, Emersonie, Arnoldzie, Ruskinie i Spencerze) Książka opatrzoną jest przypisami biograficznymi i skorowidzem.

Album Maksymiliana Cerchy. 500 tablic, przedstawiających znakomitsze grobowce Krakowa, stare zamki, oryginalne budowle drewniane i wogóle zabytki dawnej sztuki, tudzież okolice Krakowa, złoży się na to wartościowe dzieło. Ma się ono ukazać w doskonałych reprodukcjach fototypowych. Podzielone będzie na trzy tomy, obejmujące gotyk, odrodzenie i barok.

Błędy językowe.

Niektórzy piszą p r a g s k i, zamiast praski. Przypominamy, że przed zakończeniem ...ski głoska *g* znajdowaćby się nie mogła, bo zmieniwszy się na *ż* (p r a ż s k i), wypaśćby musiała, jak w boski (b o ż s k i), ryski (r y ż s k i), paryski (p a r y ż s k i) itp.

Drukarnia K. Wiesnera, we Lwowie Lindego 8.